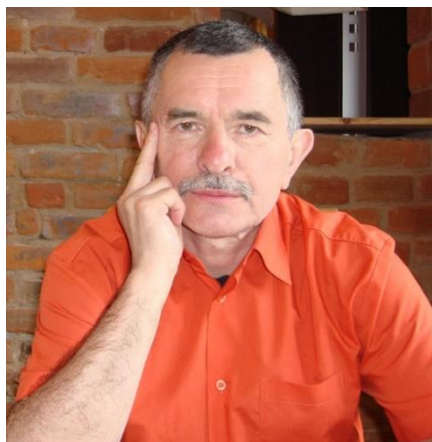


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (61)

(fragmenty)



Dwa zdania

Ze spotkania z Wodeckim prowadzonego przez Wacka Krupińskiego, autora książki „Pszczola, Bach i skrzypce”, kolegę z mojej dawnej redakcji „Dziennika Polskiego”, zapamiętałem dwa zdania:

– Bo dziś większość artystów nie wie, czego nie wie. A ja wiem, czego nie wiem, bo należę do generacji perfekcjonistów (to trafne spostrzeżenie – przyp. J.B.).

Oraz: – Pamięć ma bogatą wyobraźnię (to o skłonności do konfabulacji pana Zbyszka).

Poza tym śmiałem się też z innych dowcipów i anegdot, ale ja mam słabą pamięć do dowcipów, tak że następnego dnia zapomniałem, z czego się śmiałem.

Przyjemność patrzenia nie tylko na obrazy Wiesława Ochmana (wernisaż zorganizował Jerzy Skrobol, autor ciekawej książki o wielkim tenorze), lecz i na niego samego, światowca tryskającego werwą i humorem, urwisa z Pragi... Przyjemność słuchania jego urodziwej polszczyzny, anegdot, podziwiania ciętego języka.

Przybywa słońca

Z Józefem Baranem rozmawiają poeci: Jagna Malina i Eryk Ostrowski:

E.O.: – Wydajesz się przynależać do pisarzy, których nie da się przypisać do jednego pokolenia. W twojej twórczości nie odzwierciedliły się problemy i przemiany pokoleniowe, które są znakiem rozpoznawczym różnej ci Nowej Fali.

J.B.: – To prawda, nie mieściłem się w grupach czy pokoleniach, raczej zawsze odstawałem... Nowa Fala była dla mnie za bardzo upolityczniona, dlatego w latach 70. polemizo-

wałem na łamach najważniejszych pism kulturalnych z programem grupy „Teraz”, stworzonym przez kolegów po piórze z tego samego pokolenia, proponując zamiast formuły „tu i teraz” – formułę „momentu wiecznego”; z niektórymi znalazłem zresztą po latach wspólny język. Nie należałem też do Tylicza, co próbuje mi się wmawiać. Owszem, przyjaźniłem się z poetami z tej grupy: Adamem Zimianinem czy Andrzejem Warzechą, przyjeżdżającymi jak i ja do Krakowa z głębokiej prowincji, a więc uwrażliwionymi na krajobraz i przyrodę. Wierzę, że pisanie to indywidualny wysiłek człowieka ślęczącego nad kartką papieru...

E.O.: – Należysz – programowo – do tych twórców pragnących ocalić w sobie dziecko, każdym nowym wierszem rozpoznające i nazywające świat – niejako odrzucające wyuczone lekcje. W recenzji nazwałem cię Piotrusiem Panem, który, jak pamiętamy, „widział w swoim życiu bardzo wiele tragedii, ale je wszystkie pozapominał”.

J.B.: – To może zbyt piękne, żeby było w pełni prawdziwe, ale skoro tak to widzisz...

E.O.: – W historii literatury mamy wielu podobnych pisarzy, ale rzadko trafia się poeta, dla którego nie doświadczenie, ale pierwsze wrażenie jest decydujące. W Wielkiej Brytanii takim poetą był John Betjeman, w poezji amerykańskiej chyba najbardziej William Carlos Williams, u nas – może Miron Białoszewski? Udało im się w wierszach przedłużyć moment inicjacji, który dla poezji stanowi skarb. Ty od lat – znów jakby na przekór doświadczeniom – oddajesz hołd budzącej się młodości. Młodość jest twoim sojusznikiem – w literaturze, więc chyba i w życiu. W „Rondzie” piszesz: „starość nie istnieje / wyczerpują się tylko / stare nadzieje”.

J.B.: – Na pewno mój organizm mógłby się pochwalić zdolnością do szybkiego odnawiania się i wielką żywotnością, odziedziczoną pewnie po mamie, która ma 98 lat (...)

J.M.: – Zauważyłam, czytając ostatni tomik „Rondo”, że z biegiem lat ton twoich wierszy łagodnieje, ale nie jest to łagodność nasuwająca skojarzenia konformistyczne. Powiedziałabym raczej, że wkrada się do nich humor, żart i ironia. Nawet kiedy piszesz o śmierci, chorobie, utracie, zachowujesz dystans.

J.B.: – Chyba od początku starałem się jakoś pożenić w wierszach liryzm z humorem. Choć... w momentach, gdy po raz pierwszy się zestarzałem, a więc w wieku chrystusowym, czy potem mając lat czterdzieści parę – moje wiersze bywały zacięte zbyt „łatwym pesymizmem”. Te egzystencjalistyczne tony to chyba gorsze okresy w czterdziestoletniej twórczości, gdy oddalałem się od natury i przyrody, traciłem autoironiczny dystans do siebie, wpadałem w jakieś koleiny pesymizmu. Osobiście wolę pogodnego Barana. No cóż, poezja bywa dla mnie kołem ratunkowym, szalupą, gdy wypadam za burtę...

E.O.: – Masz za sobą doświadczenie ciężkiej choroby, życia na krawędzi. Zapis tego doświadczenia znalazł się m.in. w tomie „Taniec z Ziemią” i dziennikach. Podobne przejście różnie wpływa na twórczość. Ale lektura „Ronda” pokazuje, że dla ciebie to rozdział już

programowo zamknięty. Można odnieść wrażenie, że w tej poezji przybywa słońca...

J.B.: – Należę do szczęśliwców, którym udało się pokonać raka. Możliwe, że to traumatyczne przeżycie zapoczątkowało nowy etap w moim pisaniu, ale o tym potrafi powiedzieć ktoś śledzący ją z boku... W tomie „Taniec z Ziemią” są jeszcze echo choroby, ale w ostatnim zbiorze „Rondo” ten rozdział – jak powiedziałeś – został zamknięty. Człowiek przyzwyczaja się szybko do dobrego, ale również szybko zapomina o tym co złe...

J.M.: – Często w swoim pisaniu podkreślasz małość i marność ludzkiej egzystencji na de bezmiar kosmosu. Ale jest w tym spostrzeżeniu wiele troski, nie odwołasz czytelnika od afirmacji świata i istnienia, mówisz mu – spójrz w górę, rozejrzyj się...

J.B.: – W szpitalu widywałem ludzi mających przed sobą rok, dwa i umiających się cieszyć. To była nie tylko upokarzająca lekcja cierpienia...

Nie tak dawno czytałem kontrowersyjną książkę o moim ulubieńcu w polskiej literaturze Ryszardzie Kapuścińskim, napisaną przez Artura Domosławskiego. Stwierdzał w niej, że wielki reporter mimo niespożytej witalności i wrodzonej, wydawałoby się, pogody ducha był podszyty, gdzieś w głębi duszy, świadomością tragizmu istnienia. Tę świadomość pokrywał aktywnością, uśmiechem, bo mężczyźni nie przystoi się skarżyć. Sądzę, że jestem do niego podobny. Dlatego humanizm Kapuścińskiego był mi tak bliski. Moje wiersze jemu zresztą też, czemu dawał parokrotnie wyraz na piśmie. (...)

E.O.: – Wprawdzie literatura, a poezja tym bardziej, to nie Caritas, do którego udają się czytelnicy w poszukiwaniu otuchy, jednak twoje książki są nie tylko czytane, ale i potrzebne ludziom, chyba dlatego, że dają nadzieję.

J.B.: – Pisałem już gdzieś, że gdy czytam u poety, że „wszystko to marność, bo i tak rozsypiemy się w proch”, to nudzą mnie takie konstatacje, choć może trochę mniej niż pieśniące się dziś wiersze o pisaniu wierszy, które powstają, gdy poeta nie ma o czym pisać...

Dlaczego mimo wszystko chcę dawać nadzieję? Po pierwsze dlatego, że jak napisałem w wierszu „Hymn niepoprawnych optymistów” – skoro „zdarzył się nam / niczym ślepej kurze ziarno / pełny los na loterii materii / nieprawdopodobny cud pod słońcem narodzenia / to dlaczego nie mamy marzyć / że się zdarzy / dalszy ciąg wydarzeń / włącznie z cudem wiecznego istnienia”.

Po wtóre – wiersz ma być dla autora i czytelnika niespodzianką, zaskakiwać ot takim choćby stwierdzeniem, że jesteśmy nieśmiertelni, mimo iż zdrowy rozsądek wskazywałby, że nie (...).

cdn.

